

NATALIA KULPIŃSKA

Tam, skąd
odlatują
żurawie



NATALIA KULPIŃSKA

Tam, skąd
odlatują
żurawie









Copyright © by NATALIA KULPIŃSKA
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Sara Rzycka
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: camva.com
Pomysł na okładkę: Moje Wydawnictwo

ISBN Papier: 978-83-68837-02-5
ISBN Ebook: 978-83-68837-03-2
ISBN Audio: 978-83-68837-04-9



Moje Wydawnictwo

-  www.mojewydawnictwo.pl
-  wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
-  [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)
-  [moje.wydawnictwo](https://www.spotify.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)

—❦— ❦ —
PROLOG
LENA
—❦—



Czasami wydaje nam się, że wszystko w naszym życiu ma swój stały rytm. Że świat kręci się w tej samej melodii. Poranki pachną kawą, wieczory winem i wspomnieniami, a między nimi trwa to, co nazywamy codziennością.

Czasem odczuwamy gorzki smak porażki, a z kolei innym razem słodcy zwycięstwa. To wszystko jest nasze. Hartuje nas lub zabija.

Bywa też tak, że pewnego dnia coś się kończy. Nie głośno, nie dramatycznie, raczej jak piosenka, której nikt już nie nuci i którą się wycisza, bo zaczyna nużyć. Ktoś odchodzi, coś traci sens, coś w nas pęka. I wtedy, zanim zapadnie cisza, trzeba zrobić krok w nieznanne.

Choćby bolało.

Choćby pękało serce.

Może właśnie na tym polega życie? Na początkach i końcach?

Więc jeśli dziś słuchasz mnie gdzieś daleko – w samochodzie, w pustym pokoju, na tarasie pachnącym zbliżającą się jesienią czy w pracy – zapamiętaj ten wieczór. Może jutro obudzisz się w miejscu, które w końcu będzie twoje.

Magicznego wieczoru i nocy pełnej cudów. Mówiła do was – wasza Aurora.

Przycisnęłam guzik, który kończył audycję na żywo, zatrzasnęłam laptop i pokręciłam z dezaprobatą głową, odchylając się na krześle. Rozejrzałam się po pustym studiu pogrążonym w półmroku i stwierdziłam, że nie będzie mi tego brakować.

– Stek bzdur dla zakochanych wariatek – mruknęłam pod nosem i wrzuciłam ostatnie rzeczy osobiste do kartonu.

Moja noga miała już tutaj nigdy nie stanąć. A przynajmniej taki był plan, choć moje życie w ostatnim czasie pokazywało, że wszelkie plany ma za nic. Zaczynałam przecież nowy, fantastyczny rozdział w życiu, zwany bardziej potocznie – ucieczką.

Pogasiłam światła, pożegnałam się z portierem, który miał w zwyczaju pozdrawiać mnie jedynie znudzonym gestem dłoni i wyszłam w nocny chłód śmierdzący miejskimi spalinami.

Nowy Jork nigdy nie spał, co chwilami doprowadzało mnie do szaleństwa. Przytłaczał, onieśmielał i sprawiał, że paradoksalnie czułam się jeszcze bardziej samotna i pogubiona.

Kochałam ciszę, a tutaj wszystko wokół krzyczało, nawet moje własne myśli.

Chłód uderzył mnie zimnym powiewem w twarz. Lubiłam jesień, ale nie tę brudną i mokrą. Zresztą w mieście nie miała swojego uroku.

Miasto było piękne jedynie nocą, kiedy w mroku skrywało swoje niedoskonałości. I ja też na jakiś czas planowałam się ukryć. Zniknąć ze świata, który tak dobrze znałam. Schować się przed wścibskimi oczami, które od jakiegoś czasu namiętnie zaczęły mnie szukać.

„Kim jest tajemnicza Aurora?“, „Kobieta o kojącym głosie, czarująca tysiące słuchaczy...“, „Czy Aurora istnieje, a może to tylko wytwór sztucznej inteligencji?“

Tak krzyczały nagłówki w gazetach i na portalach internetowych. Stałam się obiektem pożądania nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Każdy chciał mnie poznać, dotknąć, sprawdzić, czy jestem prawdziwa.

A ja nie chciałam być prawdziwa. Chciałam pozostać jedynie głosem w nudnej jak dla mnie audycji radiowej. Nie posiadać twarzy, ciała ani nawet duszy. Pragnęłam pozostać tworem, którym zresztą byłam.

Aurora to nie ja. Byłam nią lata temu, kiedy naiwnie wierzyłam w miłość. Dojrzałam, a życie silnym ciosem w twarz udowodniło mi, że to uczucie nie istnieje. Możemy o nim poczytać w książkach lub posłuchać durnych audycji radiowych, stworzonych jedynie na potrzeby zarobkowe.

Tak, ckliwe historyjki miłosne sprzedawały się jak świeże bułeczki. A prawda była taka, że wymyślałam je codziennie rano, podczas szykowania śniadania, wmawiając ludziom, że są prawdziwe.

Pędząc przemoczonym chodnikiem, usłyszałam odgłos lecących ptaków, którego nie zagłuszył nawet szum gwarne miasta. Kiedy spojrzałam w górę, ujrzałam kilka tych stworzeń lecących w charakterystycznym kluczu. Migrowały.

Poczułam z nimi jakąś dziwną więź. Ja również właśnie szykowałam się do odlotu. Do ucieczki w lepsze miejsce. Migrowałam, choć nie zamierzałam już wracać.

A przynajmniej chciałam w to wierzyć: że poza granicami tego miasta, gdzieś w cichym zaułku na końcu drogi, czeka na mnie spokój.

 Nie szczęście. Nie miłość. Tylko upragniona cisza.

— ❧ — ROZDZIAŁ I — ❧ —

LENA



Stałam w progu mojego dawnego pokoju w mieszkaniu rodzinnym i spoglądałam na stos kartonów, które piętrzyły się niemal pod sam sufit. W dłoniach trzymałam kubek z parującą, malinową herbatą, którą tata raczył mnie za każdym razem, kiedy go odwiedzałam.

Tym razem zagościłam u niego na dłużej. Nieoczekiwanie. Traktowałam to jako osobistą porażkę, że po kilku latach związku wróciłam z podkulonym ogonem i właściwie zaczynałam wszystko od nowa.

Drżałam z niepokoju i ekscytacji, oczekując nadejścia godziny, na którą umówiłam firmę od przeprowadzek. Sama nie przewiozłabym tych wszystkich rzeczy, a tata miał swoje życie, pracę i kobietę, którą z jakichś powodów przede mną jeszcze ukrywał.

Nie denerwowało mnie to, a raczej rozczułało, bo wiedziałam, że starał się dbać o moje samopoczucie. Wiedział, jak bardzo kochałam mamę. I choć nie raz mówiłam mu, żeby sobie kogoś w końcu znalazł, to on i tak wolał zachowywać się jak wstydlivi nastolatek.

Uznałam, że powie mi, gdy przyjdzie odpowiedni moment. Kiedy oswoi się z myślą, że nie jest już sam. Że nie musi, a wręcz nie powinien.

Było mnie stać na nowe mieszkanie, ale znienawidziłam Nowy Jork i postanowiłam się z niego wynieść na stałe. A żeby to zrobić, potrzebovałam solidnej ekipy, która wyremontuje mój przyszły, nowy dom oraz kilkunastu tygodni cierpliwości, której powoli zaczynało mi brakować.

Dom, o którym od zawsze marzyłam, ale mój partner twierdził, że nigdy nie zamieszka poza miastem. Wieś? Tam się umierało z nudów i tonęło w pracy, której on nie znosił.

A ja właśnie tego chciałam – nudów, spokoju i ciszy, której nie zaznałam w tym cholernym mieście chyba nigdy.

– Nie musiałaś się wyprowadzać. A już na pewno nie tak szybko. – Usłyszałam głos ojca za plecami. Czuły, troskliwy. Taki, jakim raczył mnie od samego początku mojego istnienia, a przynaj-

mniej od momentu, kiedy zaczynałam rozumieć, kojarzyć i zapamiętywać.

– Tatku... – Westchnęłam, obróciłam się w jego stronę i oparłam ramię o futrynę drzwi. – Dobrze wiesz, że muszę. Potrzebuję przestrzeni. Ty również.

– Jeśli myślisz, że trzeba cokolwiek komukolwiek udowodniać...

Przerwałam mu.

– Sobie muszę udowodnić, że dam radę. Że to jedno spotkanie...

– Nie twoje spotkanie! – wtrącił się w moją wypowiedź.

– Że to spotkanie – kontynuowałam, ignorując jego oburzenie – nie sprawi, że przestanę odczuwać szczęście.

Fakt, to nie ja zawiniłam, a przynajmniej nie potrafiłam doszukać się w tej sytuacji własnej winy. Byłam dobrą partnerką. Wyrozumiałą, dającą przestrzeń, dbającą o siebie, dom i o niego. Zwłaszcza o niego...

Pewnego dnia, po wcześniejszym powrocie z wyjazdu służbowego, zastałam mojego faceta z moją koleżanką z pracy. To nie była dwuznaczna sytuacja, z której można było wyjść z twarzą lub wmówić mi, że coś jej wpadło do oka, a on to tylko wyciągał. On ją bezczelnie posuwał na blacie mojej kuchni. Tej samej, którą z takim wzruszeniem wybierałam w sklepie, a później przyrządzałam w niej te jego cholerne, ukochane cynamonki!

Byli w takiej ekstazie, że dostrzegli mnie dopiero wtedy, kiedy stanęłam tuż obok nich i zaczęłam bić im brawo.

Mimowolnie złośliwy uśmiech zawitał na mojej twarzy na to wspomnienie. Swoje już przez to wypłakałam, aż doszłam do wniosku, że ten człowiek nie był tego wart. Nikt wartościowy nie skrzywdziłby drugiej osoby w tak podły i obrzydliwy sposób.

Mogłam od niego uciec gdziekolwiek, ale prawda była taka, że tylko w ramionach ojca czułam się naprawdę bezpieczna i kochana.

Był moją ostoją i ratunkiem.

– To zawsze będzie twój dom – powiedział cicho, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Mama dałaby mi popalić, gdyby się dowiedziała, że wypuszczam cię stąd samą, pokiereszowaną...

– Mam prawie trzydzieści lat – mruknęłam. – Powinnam już dawno mieć męża, dom na kredyt, gromadkę dzieci, psa, chomika... – wymieniałam.

– Masz trzydzieści lat i nic nie powinnaś, córeczko – poprawił mnie. – Jesteś wolnym duchem. Nie potrzebujesz do szczęścia poczucia przynależności do kogoś i nie uzależniaj go od innych. Człowiek może mówić o szczęściu, kiedy pokocha samotność i samego siebie.

– Czyli przede mną jeszcze długa droga – wyszeptalam i zagryzłam wargę. – Wiesz, że zawsze sobie radzę – dodałam z uśmiechem, którym chciałam zamaskować mój obecny stan kompletnej rozsyпки.

– Bo płynie w tobie krew rodziny Ward, a my nigdy się nie poddajemy! Poza tym zawsze musisz być gotowa na to, że zostaniesz sama. Ludzie przychodzą i odchodzą.

– A ty kiedykolwiek pogodziłeś się ze śmiercią mamy? Oswoiłeś nową rzeczywistość? – zapytałam może nieco zbyt złośliwie. Trudno się przyjmowało rady, kiedy do pasa brodziło się w bagnie.

– Nie ma dnia, bym za nią nie tęsknił, ale nauczyłem się żyć sam ze sobą. Zacząłem wychodzić do ludzi. Może kiedyś w moim sercu znajdzie się miejsce na kogoś innego. Mama odeszła, ale my żyjemy dalej, a pamiętaj, że życie jest tylko jedno i nie można go zmarnować. To, że jedna miłość się kończy, nie oznacza, że nie może pojawić się druga. Może będzie mniejsza, na pewno zupełnie inna, ale równie piękna, co poprzednia.

Richard Ward był niesamowicie mądrym, otwartym na świat człowiekiem. Starał się mnie wychować na odważną osobę, która nie boi się nowych wyzwań, a po porażkach otrzepuje kolana i rusza dalej.

I tak w zasadzie było. Dopadła mnie zwyczajna ludzka chwila słabości. Melancholia, która osiadła niczym gęsta mgła na moim sercu. Wiedziałam, że w końcu opadnie i znów wyjrzy słońce.

Byłam silna, ale zdarzały się też takie dni jak ten, kiedy stałam pomiędzy tym, co znane, a zupełnie nowym życiem i zwyczajnie się bałam.

Do tej pory żyłam w wielkim mieście. Nie jeździliśmy na wieś, bo nikogo tam nie mieliśmy. Nie miałam pojęcia, jak bardzo różni się tamto życie, ale potwornie mocno chciałam tego zasmakować.

Musiałam.

– Milczysz – powiedział cicho tata.

– Bo się boję... – Wzruszyłam ramionami, żeby zmniejszyć ciężar tych słów.

– Ze wszystkim ci pomogę. Nie wyjeżdżasz na koniec świata. Cztery godziny i będę u ciebie. – Przytulił mnie mocno do siebie i ucałował w głowę. – Jesteś dzielną dziewczynką, masz to po mamie. W moich ramionach zawsze znajdziesz schronienie. Ten dom jest też twoim domem i choćbyś stanęła w progu w środku nocy, w największą śnieżycę, zawsze cię wpuszczę, ogrzeję i ukoję wszelkie smutki. Tylko umówmy się – masz tego nie robić. Jedziesz tam po szczęście i wspaniałą przyszłość.

Odsunął się ode mnie, ucałował w czoło i szczerze się uśmiechnął.

Miał pięćdziesiąt lat. On i mama wcześniej zostali rodzicami, ale nie przeszkadzało im to wychować mnie w miłości, bezpieczeństwie i zapewnić wszystko, o czym mogła marzyć mała dziewczynka. Nie poddali się, nie załamali. Przyjęli, co dał im los, tworząc, tak mi się wydawało, fajnego człowieka.

Może nawet zbyt fajnego, bo za bardzo zaufałam miłości. Myślałam, że doświadczę czegoś podobnego do tego, czego doświadczyli moi rodzice, którzy byli dla mnie wzorem ideałów.

Ich niesamowitą więź przerwała choroba mamy, a w konsekwencji jej śmierć. Ból po jej stracie tlił się we mnie wciąż nieustannie mocno, mimo że mijało już pięć lat...

Zacisnęłam dłonie w pięści, aż poczułam, jak paznokcie wbijają się w skórę. Gdzieś pod nią pulsowała melodia i słowa pio-

senki „Helium” w wykonaniu Sii, które w tym momencie tak bardzo do mnie pasowały. Moi radiowi słuchacze wciąż powtarzali, że mam magiczny głos. Nie ja jednak go miałam, a Sia.

Narastającą ciszę wokół i szum w mojej głowie przerwał dzwoniący w tylnej kieszeni dzinsów telefon. Firma od przeprowadzek podjechała pod budynek. Właśnie w tej chwili kończyło się i zaczynało moje życie.

Miałam się jutro obudzić w nowym świecie. Otworzyć książkę na czystej, niezapisanej stronie. Mogłam ją wypełnić przepięknymi historiami lub zabazgrać byle jak.

Jutro miałam też wejść do nowego studia nagraniowego, na które wydałam fortunę, by dalej opowiadać ludziom te głupie, naiwne historyjki.

– Czas na mnie, tatau – powiedziałam pewnym siebie, lekko rozentuzjasmowanym, aczkolwiek drżącym głosem.

Wiedziałam, dokąd jądę. Byłam tam kilka razy po zakupie tego starego domu, by zrobić odbiór po remoncie oraz zobaczyć studio, które miało mi służyć za azyl i pozwolić na rozwój mojej audycji.

Znałam jednak tylko ten dom. Wąską, krętą, szutrową ulicę, którą do niego dojeżdżałam i to, co widziałam zza okna samochodu. Nie spacerowałam tam nigdy, nie zwiedzałam. Nie czułam potrzeby przynależenia do tego miejsca i na pewno nie chciałam zapuścić w nim korzeni.

Ludzie kompletnie nie byli mi potrzebni do życia. Chciałam przed nimi uciec, dlatego wybrałam tę miejscowość i dom na końcu drogi. Na końcu świata. Mojego świata.

– Żałuję, że nie mogłaś poczekać, aż będę miał wolne, by z tobą pojechać i pomóc we wszystkim – rzucił tata, chwytając za moje bagaże. Ekipa już pakowała kartony z rzeczami, które zabrałam z poprzedniego mieszkania.

Ściany i podłogi należały do mojego byłego, ale wszystko inne kupiłam za własne pieniądze i choćbym miała wyrzucić na śmietnik, nie zostawiłabym mu najmniejszego drobiazgu.

Meble zawiozłam do jakiejś przechowalni, a cenniejsze przedmioty do taty, zagracając mu tym pół mieszkania. W końcu mógł się ode mnie uwolnić i odetchnąć pełną piersią.

A ja? Ja miałam prawie trzydzieści lat i nie wiedziałam, kim chcę w życiu zostać. Czułam się jak nastolatka wyjeżdżająca na studia. Jedyne, co było w moim życiu stałe, to praca i zarobki. Choć i te z audycji na audycję były coraz lepsze, poprawiając tym samym znacznie zasobność mojego konta bankowego. Dzięki temu nie musiałam się obawiać tak odważnego skoku na głęboką wodę.

Podobno to właśnie pieniądze rządziły światem i dawały szczęście. Nie czułam się szczęśliwą królową, wręcz przeciwnie – przegranym błaznem.

Trzask zamykanych drzwi, warkot silnika mojego SUV-a i zatroskana twarz taty w rozmazanej od deszczu szybie – to wszystko ostatecznie uświadomiło mi, że nie ma odwrotu. Nie zamierzałam i nie chciałam tu wracać.

Nigdy.

Wzięłam głęboki wdech i ruszyłam w nieznanne. Ku porannym mgłom, śpiewowi ptaków i gorącej kawie pitej na werandzie. Tak zakładała ta romantyczna wersja mnie, którą usilnie starałam się od dłuższego czasu uciszyć i zakneblować raz na zawsze.

Miłości nie ma. Nie ma!

Za mną zostawał Nowy Jork i wszystko, co znałam. Przede mną – tylko mgła i echo żurawi, odlatujących gdzieś w głąb poranka.

— ❧ — ROZDZIAŁ 2 — ❧ —

EVAN



– Fantastyczna robota! – zamruczał entuzjastycznie mężczyzna, któremu dostarczyłem właśnie ręcznie robione biurko, wykonane z jego projektu i wizji. Jak dla mnie przesadzone i zbyt zdobne, ale to nie ja tutaj miałem być zadowolony, a on.

Przejechał po jego blacie opuszkami palców, jakby chciał sprawdzić, czy nie posiada żadnej skazy, żadnej zadry – upewnić się, że jest prawdziwe w tym całym świecie sztuczności i plastiku.

Analizował każdy detal, szepcząc przy tym pochwały. Wyglądało, jakby rozmawiał z meblem, a nie ze mną.

Znałem go jedynie z widzenia. Nie był moim znajomym, choć rozmawialiśmy wiele razy podczas przypadkowych spotkań w mieście, sklepie lub lokalnej kawiarni. Nigdy jednak nie poszliśmy razem na piwo, nie spotykaliśmy się na kawę czy herbatę. Ot, zwyczajnie w biegu zagajaliśmy o pogodę, aktualną sytuację w miasteczku lub o kompletne bzdury, o których można rozmawiać z obcymi.

To miasteczko było małe. Ludzie żyli plotkami i życiem innych. Teoretycznie znaleźliśmy się wszyscy, ale w praktyce wiedzieliśmy tylko to, co dana osoba chciała wyjawić lub co inni o niej opowiedzieli.

Ja zdecydowanie należałem do tej grupy, która bardzo szanowała swoją prywatność, a wszelkie plotki puszczałem mimo uszu.

– Dzięki, Rob! – odparłem po chwilowej zadumie.

– Marnujesz się w tej wiosce. Powinieneś ruszyć na podbój Nowego Jorku – rzucił i jeszcze raz pogładził blat. – Jesteś młody, zdolny. Tutaj nic dobrego już na ciebie nie czeka. Miłości w tej dziurze zabitej dechami nie znajdziesz.

– Podobno zawsze jest lepiej tam, gdzie aktualnie nas nie ma. – Zaśmiałem się i wcisnąłem dłonie w kieszenie roboczych spodni. – I kto powiedział, że szukam czegokolwiek?

– Samemu źle żyć – skwitował, patrząc się na mnie uważnie i chyba trochę oceniająco.

Można było rzec, że przywykłem do tego. Do spojrzeń pełnych współczucia oraz tych, które przesywały mnie na wskroś, chcąc wejść do mojej głowy i myśli. Nachalnego układania mi życia,

klepania po plecach i ciągłego przypominania, jaka to wielka tragedia mnie spotkała.

Nie wspominając o głupich i żenujących próbach swatania mnie z miejscowymi panienkami, wdowami, kuzynkami i Bóg raczy wiedzieć kim jeszcze. Jakbym postradał rozum i nie był zdolny do samodzielnej oceny własnej sytuacji, która według mnie była stabilna – normalna i całkowicie akceptowalna.

Ludzie zawsze lubili podpowiadać, dawać dobre rady i poczuć, twierdząc przy tym, że robią to wyłącznie dla dobra rozmówcy.

– Słyszałeś, że ktoś kupił dom na końcu drogi? – zagaił nagle, widząc, że ewidentnie nie miałem ochoty poruszać z nim tematu moich spraw sercowych i wyjazdu, którego nigdy w życiu nie planowałem. Zniżył przy tym głos niemal do szeptu, jakby zdradzał jakąś straszną tajemnicę.

Bawiły mnie te małomiasteczkowe zachowania i nagminne wtykanie nosa we wszystkie sprawy, tylko nie w te swoje.

– Słyszałem – odparłem krótko, wzruszając przy tym ramionami.

– I co?

– Z czym? – zapytałem i zmarszczyłem brwi, udając, że nie mam pojęcia, co ma na myśli.

– Podobno to jakaś młoda kobieta. Ludzie mówią, że otoczyła się woalką tajemnicy i nie dopuszcza do siebie nikogo z „naszych”. Wszelkie pytania zbywa krótkimi słówkami. Blachy samochodu wskazują na Nowy Jork. Wyniosła paniusia z miasta.

Nieźle rozeznanie, biorąc pod uwagę moją wiedzę, która kończyła się na tym, że faktycznie ktoś kupił ten piękny i stary dom rybacki.

Sądziłem, że był skazany na zniszczenie i ostatecznie padnie łupem tutejszych opryszków, którzy z nudów rozwalali wszystko, co stało na ich drodze.

– Czas pokaże – powiedziałem wymijająco, uśmiechnąłem się i skierowałem w stronę samochodu.

Nie miałem ochoty obgadywać nikogo, a już na pewno nie kogoś nowego, kogo ani razu nie widziałem na oczy.

Byłem wdzięczny tutejszym ludziom za okazaną empatię, za zamówienia i wsparcie, ale jednocześnie miałem ich wszystkich czasami dość, bo zamiast zająć się własnym podwórkiem, wciąż spoglądali do sąsiada.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce mojej wysłużonej furgonetki i ruszyłem w stronę centrum – o ile w ogóle tak mogłem nazywać to miejsce składające się z banku, kawiarni i kilku małych butików.

Miałem ochotę na mocną kawę oraz dobre ciasto i wiedziałem, że znajdę to w niewielkiej, ceglanej kawiarni przy West Genesee Street u Poppy Johnson.

Kobieta o złotym sercu, która choć znała tutaj naprawdę wszystkich, nigdy nie poruszała tematów, które jej nie dotyczyły. Potrafiła błyskotliwie rozmawiać o pogodzie lub tym, czym dana osoba zajmowała się zawodowo. Nigdy nie grzebała w sferze osobistej. Była ponad tym i chyba głównie za to ją szanowałem.

– Evan! – powitała mnie tym swoim ciepłym głosem i szczerym uśmiechem. – To, co zawsze? – dopytała, choć doskonale znała odpowiedź.

– Kawa i szarlotka. Nie ma nic lepszego niż ciasto z naszych lokalnych jabłek – oznajmiłem i zająłem miejsce na wysokim krześle przy niewielkim barze.

Miałem wrażenie, że tylko ja na nim siadałem, jakby było zarezerwowane specjalnie dla mnie. Może dlatego, że nie bałem się konfrontacji z tą kobietą, która nie musiała pytać, by dużo wiedzieć. Wystarczyło, że spojrzała w oczy, jakby widziała w nich całą duszę.

Niektórzy nazywali ją czarownicą, inni wróżką lub jasnowiedzką.

Nie wróżyła jednak z fusów. Zwyczajnie znała się na ludziach, na ich naturze i zachowaniu. Była mądrą, czytaną osobą.

– Znów ktoś próbował cię swatać? – zapytała z rozbawieniem, stawiając przede mną fikuśną filiżankę w jakieś koszmarnie wzory i talerzyk z ciastem.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Zabrała się za wycieranie szklanek wyjętych ze zmywarki i układaniem ich na półkę.

– Tym razem kazano mi wyjechać – odpowiedziałem z ironią.

– Niech zgadnę... – Udała, że się zamyśla. – Do wielkiego miasta, w którym panienki będą rzucać się takiemu przystojniakowi na szyję, a pieniądze będą płynąć niczym ogromna rzeka.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Ciężko było powiedzieć, że Poppy była moją przyjaciółką, ale na pewno była mi kimś bliskim. Może bratnią duszą? Rozumiała mnie jak nikt.

– Nie przejmuj się ludźmi, chcą dobrze. – Oparła się pośladkami o szafki i spojrzała mi głęboko w oczy.

Była starsza ode mnie o co najmniej dziesięć lat. Jej oczy – ciemne, mądre i czujne, miały w sobie również dużo ciepła i otuchy. Potrafiła mówić, ale jeszcze lepiej słuchać, choć ja akurat nigdy się jej nie zwierzałem. Nikomu zresztą.

– Nie drażnią mnie, choć czasami bawią. Ich troska przytłacza, a ja nie jestem małym chłopcem. Poradziłem sobie wtedy... – urwałem i spuściłem wzrok na parującą kawę.

– Zawsze sobie poradzisz, Evan – dokończyła za mnie. – Jedz. Moje ciasta trafiają prosto w serce. Łagodzą gorycz w nim zgromadzoną.

– Minęło już tyle czasu... – Westchnąłem. – Dlaczego każdy myśli, że ma prawo mi w kółko przypominać, że jestem sam? Po co na nowo otwierać stare rany? To, że oni nie umieliby się odnaleźć w mojej sytuacji, nie znaczy, że ja tego nie potrafię. Powiedz, jeśli się mylę.

Zacisnąłem palce na filizance. Udawałem sam przed sobą, że te wszystkie dobre rady mnie nie ruszają, a prawda była taka, że właśnie dlatego chowałem się w moim warsztacie i najczęściej korzystałem z zewnętrznych firm transportowych, by unikać takich rozmów jak ta z dzisiejszego popołudnia.

Nie wiedziałem, jak było w innych miasteczkach, ale u nas każdy uważał się za specjalistę i za kogoś, kto miał genialne rozwiązanie na każdy problem – zwłaszcza ten, który istniał tylko w jego głowie.

– Evan... Naprawdę obchodzą cię te marudy z naszego miasta? – zapytała z przekąsem, oparła dłonie o wysoki blat i roześmiała się, odrzucając pokręcone blond włosy do tyłu.

– Musisz zmienić szyld – powiedziałem całkiem poważnie, na co kobieta uniosła jedną brew w oczekiwaniu na to, co dalej powiem. – To nie jest kawiarnia, to pieprzony gabinet psychologiczny – dodałem i upiłem w końcu ten nektar bogów.

W odpowiedzi poczułem tylko jej dłoń na swojej.

– Te drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem, Evan. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie słuchaj innych, wsłuchaj się we własne serce. Ono zawsze wie najlepiej, zna drogę, miejsce i czas. Wszystko ci pokaże i podpowie. Może nie dzisiaj, nie jutro, ale kiedy przyjdzie ten dzień, będziesz wiedział.

– Pyszne ciasto, Poppy – odparłem, by dać jej znać, że wystarczy. Że nie potrzebuję więcej.

Wróciłem do domu i usiadłem na werandzie. Drewniana huśtawka zaskrzypiała pod moim ciężarem, jakby chciała zaznaczyć, że nie byłem tu sam. Że czuła i dźwigała razem ze mną ten ciężar.

Bo nie byłem.

Duch mojej żony unosił się w każdym pomieszczeniu, które tak kochała. W najmniejszym źdźbłe trawy szumiącej na wietrze. W śpiewie ptaków.

Wiatr przywiał zapach trocin, które składowałem w wielkiej skrzyni za domem. One również przypominały mi o niej. Kochała obserwować mnie przy pracy. Podziwiała moje dzieła. Twierdziła, że stukanie młotka to dla niej najpiękniejsza melodia.

Spędziłem na zewnątrz długi czas, próbując oczyścić głowę i serce. Wpatrywałem się w horyzont, aż ten zniknął za ciemną zasłoną nocy.

Kiedy poczułem chłód, uznałem, że czas najwyższy schronić się w domu.

Stare radio mojego ojca stało w salonie na kominku. Zrzuciłem buty, nalałem sobie whisky i zacząłem szukać stacji radiowej, która w jakikolwiek sposób przykuje moją uwagę.

Wtedy usłyszałem kobiecy głos. Ciepły, dający nadzieję, spokojny i kojący...

– Żurawie odlatują, ale zawsze wracają w to samo miejsce. Może miłość też ma w sobie ten instyngt powrotu. Magicznego wieczoru i nocy pełnej cudów.

Trafiłem na końcówkę jakiejś audycji.

Nie wiedziałem, o czym mówiła, ale zapragnąłem jeszcze raz usłyszeć ten głos.

Był czwartek. Jeśli jutro o podobnej porze jej nie będzie, to oznacza, że jej audycje były cykliczne, ale nie codzienne.

Dlaczego mnie tak zaintrygowała – nie wiedziałem, ale bardzo chciałem to sprawdzić jeszcze raz.

Nie znałem jej, ale ten głos brzmiał tak, jakby znał mnie od zawsze.

Może to przez zmęczenie. Może przez to, że miałem wrażenie, że mówi to wprost do mnie. Bo kto inny, jak nie ja, potrzebował w swoim życiu cudu i magii?

Spojrzałem na pianino stojące w rogu pokoju, którego nie tknąłem od lat. W uszach wybrzmiała ulubiona melodia mojej żony, ale nie miałem odwagi podejść do niego i zagrać.

Robiłem to głównie dla niej. Uważała, że miałem magiczny głos i palce, które czarowały melodie trafiające prosto w serce.

Zrobiło się nostalgicznie, a może zwyczajnie ja taki byłem. Kochałem ją wspominać. Jej śmiech, skórę, to, jaka była.

Idealna. Najpiękniejsza. I na zawsze moja.

Nauczyłem się żyć bez niej. Oswoiłem samotność i teoretycznie byłem gotowy na przyjęcie nowej miłości. Wszak to właśnie obiecałem mojej żonie na łożu śmierci: że nie zostanę do końca życia sam.

Zrobiła miejsce komuś nowemu i według niej to było takie normalne, akceptowalne. A ja po pięciu latach wciąż nie wiedziałem, jak miałbym pokochać kogoś poza nią.